

Ona ma osiemnaście lat. On trzydzieści jeden.
Ich świąty nie powinny się przeciąć, jednak gdy zamieszkują
po sąsiedzku, pokusa okazuje się nie do odparcia...

WYTRWAŁOŚĆ DZIKICH KWIATÓW

MICALEA
SMELTZER



MICAŁEA SMELTZER

WYTRWAŁOŚĆ DZIKICH KWIATÓW

PRZETŁUMACZYŁA
Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Confidence of Wildflowers
Wildflower Series #1

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Nowak
Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Katarzyna Kusoń
Projekt okładki: © Emily Wittig
Adaptacja okładki: Łukasz Werpachowski
DTP: Maciej Grycz

Copyright © by Micaela Smeltzer
Copyright © 2023 by Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus spółka komandytowa
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik, 2023

Published by arrangement with SBR Media and BookLab Agency

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-175-6

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





Człowiek w wieku osiemnastu lat powinien mieć zaplanowane całe życie.

Nikt tego nie mówi, nie wprost, ale sugestia wyływa z tego, że powinieneś mieć wybraną uczelnię i obmyślaną całą ścieżkę kariery. Pomysł na to, gdzie i kim chcesz być.

Moja starsza siostra wiedziała, że chce iść na studia, by zostać pielęgniarką. Potem chciała się przeprowadzić do dużego miasta, robić wielkie rzeczy i być kimś ważnym.

Teraz mieszka jednak w naszym małym miasteczku Hawthorne Mills w stanie Massachusetts.

Plany nie zawsze udaje się zrealizować, ale ludzie i tak je na innych wymuszają, jakby to, że masz przed sobą wytyczoną ścieżkę, gwarantowało, że wszystko będzie w porządku.

Co za pieprzone kłamstwo.

Ja nie mam planu i nie chcę go mieć.

Dwa tygodnie temu zostałam absolwentką liceum bez planu podjęcia studiów. Mój chłopak wybiera się na uczelnię i wciąż nie rozumie, dlaczego nie chcę pojechać tam za nim.

Nie jestem psem na smyczy.

Podążanie za czyimiś pragnieniami jest według mnie bi-
letem w jedną stronę do mojej wersji piekła – już tam kiedyś
byłam i nie zamierzam wracać.

Lekki wiatr porusza włosami opadającymi mi na ramiona.
Odgarniam je do tyłu i spinam gumką. Podciągam kolana pod
brodę i oplatom nogi rękami. Nie mam pojęcia, skąd się wziął
ten siniak na kolanie.

Samochód mamy wjeżdża na naszą ulicę, więc przechodzę
pospiesznie oknem, zanim mnie wypatrzy na okapie dachu
przed moim pokojem. Nie znosi, kiedy tam siadam, przekona-
na, że spadnę, chociaż nigdy się tam nawet nie poślizgnęłam.
Tłumaczyłam jej wiele razy, że dachówki są chropowate, ale
nie słucha. Domyślałam się, że wypełnia tylko matczyzny obo-
wiązek troszczenia się o mnie.

Zamykam okno, wzdycham i patrzę z uśmiechem na czar-
nego kota o lśniących zielonych oczach, który leży zwinięty
w kłębek na łóżku. Zerka na mnie, jakby mówił: „Jak cię za-
uważy, znajdziesz się w opałach”.

Kiwam głową. Wiem.

Znalazłam Binxa, nazwanego tak na cześć kota z ulubione-
go filmu, gdy był kociakiem – ktoś go porzucił w uliczce za an-
tykwariatem mamy. Nie mogłam go tam zostawić. W tamtym
czasie miałam tylko pozwolenie na naukę jazdy i jeździłam
rowerem. Wpakowałam go pod kurtkę i zabrałam do domu,
gdzie błagałam mamę do upadłego, żebym mogła go zatrzy-
mać. Nie spodziewałam się, że się zgodzi, ale jakimś cudem
na to przystała. Chyba też skradł jej serce.

Otwierają się drzwi wejściowe i po chwili mama woła:

– Salem?

No, też noszę imię fikcyjnego kota.

Tak naprawdę to nazwano mnie na cześć miasta, w którym zostałam poczęta – a przynajmniej tak mi powiedziano. To dopiero ohyda.

– Tak? – Wychodzę z pokoju i stoję na szczycie schodów.

Dom w wiktoriańskim stylu, stopniowo przebudowywany przez mamę, chełpi się imponującymi schodami, takimi, które pojawiają się w starych filmach, gdy debiutantka sunie po nich w dół z dłonią elegancko opartą o poręcz.

Niestety, nie jestem debiutantką i nie ma we mnie ani krztyny elegancji.

Jeśli oczywiście poszarpane dżinsowe szorty, brudne trampki i koszulka na ramiączkach miałyby o czymś świadczyć.

– Masz jakieś plany na popołudnie? – Dmuchięciem odgarnia grzywkę znad oczu, w rękach trzyma papierowe torby z zakupami.

Schodzę na dół i odbieram część z nich.

– W tej chwili nie.

– Pomyślałam sobie, że kiedy już to odstawię – rusza w stronę kuchni, a ja za nią – może zechcesz mi pomóc upiec babeczki. Thelma będzie prowadziła sprzedaż ciast i chciałabym wypróbować różne przepisy.

Thelma Parkington, znana też jako miasteczkowa intrygantka. Babka ma grubo po siedemdziesiątce, nosi wiecznie za duże okulary i kolorowe sukienki w dziwne wzory. Wielka z niej plotkara, która wie wszystko, co można wiedzieć, o wszystkich w mieście.

Wzruszam ramionami, wyjmuję z jednej z toreb pudełko z płatkami i stawiam na blacie.

– Może być.

– To dobrze. – Mama się uśmiecha, dzierżąc w dłoniach paczkę krakersów. – Uwielbiam, kiedy mi pomagasz w kuchni.

Też się uśmiecham. Nie zawsze było tak łatwo, nie kiedy żył tata. Za zamkniętymi drzwiami był zwyrodniałym kontrolującym nas dupkiem, podczas gdy publicznie prezentował coś zgoła odmiennego. Życie z nim było piekłem. Mama, siostra i ja wiecznie wstrzymywałyśmy oddech, zastanawiałyśmy się, co go tym razem zdenerwuje. To mógł być drobiazg, na przykład niezgaszone światło albo kuchnia nieposprządana tak szybko, jak według niego powinnyśmy były to zrobić.

Teraz możemy upiec razem babeczki i zostawić bałagan w kuchni na wiele dni, jeśli tego chcemy.

Nie robimy tak, ale liczy się to, że m o ż e m y .

Wypakowujemy wszystkie zakupy i mama wyciąga jeden ze swoich licznych fartuchów – ten jest kolorowy, z kawałkami szarlotki – a potem podaje mi drugi w kwiaty.

– Jakie smaki chcesz wypróbować? – Starannie wiążę fartuch w talii, żeby nie zabrudzić ubrania.

Znając mnie, to i tak bez znaczenia. Na pewno umorusam się mąką albo lukrem.

– Myślałam o miodowo-lawendowych, o czekoladowych, bo są wypróbowane, i może cytrynowo-miętowych. – Zagryza wargę. – Poprzednio wyszły zbyt miętowe, więc będę musiała poprawić przepis.

– A co z twoimi babeczkami ciasteczkowymi? Zawsze cieszą się powodzeniem.

Chichocze i patrzy za mną, kiedy sięgam po jej zeszyt z przepisami, na wypadek gdyby chciała coś sprawdzić.

– Mówisz o nich tylko dlatego, że to twoje ulubione.

Odwracam się do niej i kładę zeszyt na wyspie.

– Zgadłaś.

Kręci głową z rozbawieniem malującym się na jej ustach, ale nie odrzuca mojej prośby, więc uśmiecham się radośnie.

Pracujemy razem, wyjmujemy składniki, miski i wszystko, czego będziemy potrzebowały. Nie jestem tak dobra w pieczeniu jak ona, ale radzę sobie przywoicie i lubię pichcić razem z nią.

W domu jest już dość ciepło – radość mieszkania w starym budynku bez klimatyzacji – więc uruchamiam wiatrak pod sufitem i ten na podłodze, żeby schłodzić pomieszczenie. Gdy zaczniemy nagrzewać piekarniki, zrobi się naprawdę nieznośnie.

Mama włącza muzykę, obie śpiewamy i tańczymy. Śmiech wypełnia przestrzeń i przypomina mi się czas, kiedy ten dźwięk był całkowicie nieobecny w naszym domu.

Staram się nie myśleć zbyt często o tym, co było „przed” – o naszym życiu, gdy tata jeszcze żył – ale w niektóre dni trudno ignorować te myśli.

Biorę ciasto i nakładam równe porcje do blach wyłożonych papierowymi foremkami, a mama zaczyna robić trzy różne polewy. Kuchnia jest najbardziej odnowioną częścią domu, a mama uparła się przy dwóch piekarnikach, tak bardzo lubi piec. W takich chwilach jak ta, kiedy piecze kilka porcji babeczek, rzeczywiście jest to praktyczne.

Wsuwam blachy do piekarników i nastawiam czasomierz – chociaż niepotrzebnie.

Mama ma w tej kwestii szósty zmysł. To dziwne, że potrafi stwierdzić, kiedy coś jest gotowe, a ta umiejętność jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

Patrzy na telefon i kręci nosem.

– O co chodzi? – Zmywam z rąk ciasto, którym się zachlapałam.

– To twoja siostra.

Przewracam oczami. Dogaduję się ze starszą siostrą całym niezłe, co nie znaczy, że jestem ślepa na jej wady – a jest ich wiele.

– Co zrobiła tym razem? – Wycieram ręce w ścierkę i zaczynam zbierać brudne miski i łopatki.

– Nie będzie jej na kolacji. Wychodzi z Michaeliem.

Staram się ukryć swoją reakcję. Georgia spotyka się z Michaeliem od lat, choć z przerwami. On nie jest najgorszym człowiekiem, ale razem stanowią zabójcze połączenie. Są dziwką, spontaniczną i pewną katastrofą.

Kiedy zerwali ze sobą ostatnio, przysięgała, że już nigdy się z nim nie spotka. Co za kłamczucha.

Nie zrozumcie mnie źle, może robić ze swoim życiem, co się jej podoba, ale chciałabym, żeby znalazła kogoś, kto traktuje ją jak królową, a nie postać drugoplanową, i kto, pomimo spędzonego wspólnie czasu, nie ucieka na wzmiankę o ślubie. Może i mam zaledwie osiemnaście lat, ale nie jestem głupia. Partnerzy powinni być zgodni co do tego, czego chcą, a tych dwoje zupełnie się rozmija.

– Wydawało mi się, że zerwali na dobre. – Szoruję miskę ze stali nierdzewnej mocniej, niż to konieczne.

– Znasz Georgię. Kocha go i za każdym razem myśli, że teraz będzie inaczej.

– Może tym razem tak... – Staram się wnieść do swojego głosu fałszywą nadzieję, lecz obie się śmiejemy, bo wiemy, że tak się nie stanie.

Kończę zmywać i pomagam mamie dokończyć polewy.

– Babeczki są gotowe. – Podnosi gwałtownie głowę i podchodzi szybko do piekarnika, wsuwając rękawicę na dłoń. Wyjmuje blachy i odstawia do wystygnięcia. – Możesz sprawdzić, czy przyszła poczta?

– Nie ma sprawy.

Otwieram boczne drzwi i pokonawszy dwa stopnie, staję na podjeździe. Został niedawno wyłożony kostką – dziadkowie

za to zapłacili – a mnie brakuje możliwości kopania żwiru. Zerkam na sąsiedni dom. Sprzedano go jakiś czas temu i dotychczas nikt w nim nie zamieszkał. Dzisiaj jednak stoi przed nim furgonetka. Idąc w stronę ulicy, mrużę oczy i staram się odczytać napis na pace.

„Holmes – architektura krajobrazu”.

Ha. Może ten, kto kupił dom, zatrudnił architekta krajobrazu, żeby pozbyć się dzikich chaszczy. Podwórko i dom zdecydowanie wymagają troski, ale – podobnie jak nasze – są piękne i mają ogromny potencjał. Kiedy mama kupiła ten dom, w pierwszej chwili uznałam, że oszalała, bo nie wybrała czegoś nowo wybudowanego, ale potem ją zrozumiałam. Starszy dom ma więcej charakteru. Wystarczy okazać mu trochę miłości.

Otwieram skrzynkę na listy, wyjmuję korespondencję i odwracam się, by wrócić do środka. Wtem zza ogrodzenia oddzielającego nas od sąsiedniego podwórka dobiega czyjeś postękiwanie.

– Halo? – wołam.

Nikt nie odpowiada, ale wyraźnie się z czymś siłuje.

Z wahaniem zaglądam na podwórko i stwierdzam, że brama za domem jest otwarta. Zerkam na furgonetkę zaparkowaną przy ulicy.

Salem, ludzie bywają w ten sposób pozbawiani życia.

Ta myśl nie powstrzymuje mnie przed wejściem na podwórko.

– Halo? – Mój głos dzwoni w popołudniowym upale. – Jest tu kto?

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymuję, jest sapanie i dyszenie, jakby ktoś chciał wysadzić dom w powietrze.

Obchodzę ścianę szczytową domu i widzę mężczyznę, który jak opętany wyrывa dziczkałe kwiaty i krzewy. Robi to na

czworaka i nie sposób nie zauważyć, jakie ma muskularne ramiona i nogi. Że o tyłku nie wspomnę.

Przestań się gapić na tyłek nieznanego faceta!

Ma mocną opaleniznę, taką, jaką można zdobyć tylko dzięki spędzaniu na słońcu długich godzin.

I pewnie tak jest, jeśli furgonetka należy do niego. Włosy ma czekoladowobrązowe z naturalnymi blond pasemkami.

Rzuca wszystko za siebie, a sporo tego łąduje w brudnym basenie, z którego zbyt długo już nie korzystano.

– Hej. Mogę pomóc?

Zamiera na dźwięk mojego głosu, a potem się odwraca. Kasztanowobrązowe oczy zwiężają się i mnie lustrują. Mierzy mnie wzrokiem. Patrzy na brudne buty, korespondencję ścisiskaną w dłoni, ciało, po czym znowu opuszcza spojrzenie.

– To jest najście – stęka i siada na piętach.

Na nosie ma piegi i chociaż się domyślam, że jest trochę po trzydziestce, sprawiają one, że wygląda młodziej, wręcz chłopięco. Wyraźny zarost na kanciastej szczęce przeczy jednak chłopięcości.

– Powinien pan nosić okulary. – Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to mówię jako pierwsze.

– Hm? – Odgarnia skołtunione włosy z oczu i patrzy na mnie, mrużąc powieki.

Najwyraźniej też uważa, że to głupi tekst. Mimo że powinien je nosić.

– Przepraszam. – Kręcę głową. – Mieszkam obok. – Wskazuję kciukiem za siebie. – Usłyszałam pana. Brzmiało to, jakby pan z czymś walczył, więc uznałam, że sprawdzę, czy wszystko w porządku.

– Nic mi nie jest. – Głos ma głęboki, a jakaś nuta w nim sprawia, że dreszcz przebiega mi po plecach. – Możesz już iść.

Teraz ja mrużę oczy.

– A powinien pan tu być?

Jego usta drgają w lekkim rozbawieniu.

– To mój dom, więc... tak. A czy ty powinnaś tu być?

Oboje znamy odpowiedź.

– Och. – Cofam się o krok. – Ja... nie... Przypuszczam, że nie... – dukam z powodu swojej głupoty. – Przepraszam.

Ignoruje mnie, bo już wrócił do swojego żmudnego zadania. Sądząc po stanie podwórka, zajmie mu to szmat czasu, jeśli będzie chciał wszystko oczyścić sam, no, ale może zamierza skorzystać z pomocy później, a teraz musi wywalić z siebie frustrację na osobności.

– Nie chciałam przeszkadzać – gadam bez ładu i składu, cofając się w stronę otwartej bramy. – Po prostu się zaniepokoiłam.

Ignoruje mnie i ciska za siebie kolejne zielsko.

– W każdym razie... gdyby pan czegoś potrzebował, proszę bez skrępowania pukać do naszych drzwi.

Dociera do mnie, że nic nie odpowie, więc wybiegam za bramę i pędzę przez podjazd.

Otwierają się boczne drzwi i mama wystawia głowę na zewnątrz.

– Właśnie szłam sprawdzić, co z tobą. Martwiłam się.

Kręcąc głową, wpadam po schodach do domu.

– Przepraszam. Poznałam nowego sąsiada.

– Och. – W jej głosie pobrzmiewa zaskoczenie. Wyciąga szyję, jakby mogła kogoś stamtąd wypatrzeć. – Nie wiedziałam, że już się wprowadzili.

– Nie wydaje się zbyt przyjacielski.

Ściąga brwi i przekręca zasuwę. Już zdjęła babeczki z blach i ustawiła je na blacie.

– To niedobrze.

– Mhm – mruczę.

– Może ma zły nastrój. Przeprowadzki bywają stresujące.

Wzruszam obojętnie ramionami, ale moje oczy wędrują w kierunku okna w kącie śniadaniowym, wychodzącego na jego podwórko. Chociaż nie widzę sąsiada, wyobrażam go sobie na czworaka.

– Może.

Budzi to we mnie wątpliwości, ale mimo jego zachowania dalekiego od życzliwości nie mogę się wyzbyć zainteresowania tym mężczyzną.



Nowego sąsiada – minęły trzy dni, a ja nadal nie znam jego imienia – zajmuje się metodycznie swoim podwórkiem. Zrobił już wyraźne postępy, a wczoraj pomagało mu kilka osób.

Nie zauważył, że siedzę na dachu i go obserwuję.

Gdyby mama mnie widziała, nazwałaby to szpiegowaniem. Mnie się to określenie nie podoba.

Zawsze lubiłam obserwować ludzi – ale nie jak jakiś zбочeniec – i zastanawiać się nad ich życiem: kogo być może Kochają, czym się trapią. Tyle ludzi, tyle przecinających się dróg, mimo to mijamy się, nawet o sobie nie myśląc.

Kiedy tak przyglądam mu się na podwórku, gdzie z zapamiętaniem wyrwa chwasty, ocierając pot z czoła, zachodzę w głowę, jakie demony go nęka. Wygląda na to, że rozsada go mnóstwo tłumionej złości. Ciekawe, skąd się wzięła.

Nie mogę go jednak o to zapytać.

Zamiast tego więc patrzę.

Przyglądam się i zastanawiam.

Ciekawość mnie zżera. Wdrapując się przez okno do domu, zamykam je, a potem drapię Binxa po głowie i pędzę na dół po schodach.

W domu nie ma w tej chwili nikogo, dlatego nikt mnie nie powstrzymuje, gdy biorę po jednej babeczce upieczonej tamtego dnia i szklankę świeżej lemoniady zrobionej przez mamę.

Niosąc to wszystko, modłę się w myślach, żeby był w lepszym nastroju, ale po godzinnej obserwacji tego, jak pracował, coś mi podpowiada, żebym nie robiła sobie wielkich nadziei.

– Cześć! – wołam radosnym głosem.

Mężczyzna przestaje kopać i patrzy na mnie zmrużonymi oczami.

Dzisiaj nie ma koszulki i widzę z bliska pot oblepiający jego muskularną klatkę piersiową. Barki ma szerokie, talię wąską. Na podstawie wyglądu jego mięśni można stwierdzić, że kiedy ten gość nie pracuje, spędza dużo czasu na siłowni.

Ma na głowie bejsbolówkę, której daszek chroni mu oczy przed słońcem. Usta mi drgają z rozbawienia, kiedy sobie przypominam swój tekst o okularach. Na pewno zrobiłam na nim wrażenie.

Jego wzrok ląduje na tacy. Odwraca czapkę daszkiem do tyłu.

– Kolejne najście?

Przewracam oczami.

– Sąsiedzka serdeczność. Babeczki i lemoniada. – Triumfalnie unoszę tacę.

Wysuwa leciutko język i zwilża wargi. Ale po tacę nie sięga.

– Nie ma tu trucizny – namawiam go. – A babeczki są ciasteczkowe, lawendowo-miodowe i cytrynowo-miętowe. Ja najbardziej lubię ciasteczkowe.

– Dużo mówisz.

Wzruszam ramionami, nie przejmując się jego spostrzeżeniem.

– Podobno.

Większość dni w Hawthorne Mills w stanie Massachusetts jest chłodna, ale lata potrafią tu być naprawdę upalne. I dzisiaj jest właśnie taki dzień. Stoję przed nim i czuję, że pot spływa mi po plecach. Zerkam w prawą stronę na basen i zastanawiam się, czy facet planuje go oczyścić i uruchomić przed końcem lata.

Z westchnieniem wyciera palce w szorty.

– Która to ciasteczkowa?

Ruchem głowy wskazuję środkową, a jego długie opalone palce sięgają po babeczkę.

– Nie chcesz pozostałych?

Kręci głową.

– Nie. – I już się odwraca, by wrócić do pracy.

– A lemoniada?

Waha się, bierze szklankę i stawia ją na płaskim kawałku ziemi.

Czekam w nadziei, że coś powie, na przykład „dziękuję”. On jednak chwyta łopatę, gotowy dalej kopać.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – Odwraca czapkę tak, że nisko opuszczony daszek zasłania jego brązowe oczy.

– Nie. To wszystko. – Pokonana, odwracam się w stronę swojego domu. Gdy docieram do bramy, krzyczę: – Nie ma za co!

Dobiega mnie cichy rechot.

Kiedy wchodzę do antykwariatu zlokalizowanego przy głównej ulicy w naszym małym mieście, dzwonek odzywa się westoło, oznajmiając moje przybycie.

Sklep Przeszość w Kratkę to duma i radość mojej mamy. Uwielbia piec w domu, ale nigdy nie marzyła o cukierni. Nie. Od zawsze chciała tego – uroczego sklepiku wypełnionego rzeczami, które sama wybrała. Z niektórymi nie robiła nic, nad innymi ona lub ja pracowałyśmy w garażu na tyłach budynku.

– Cześć, mamo! – wołam, kierując się na zaplecze.

Stawiam torbę za ladą.

– Cześć, kochanie. – Patrzy na mnie z wystawy, którą reorganizuje już czwarty raz w tym tygodniu.

Niektórzy ludzie mogliby nie chcieć pracować dla mamy, ale ja to uwielbiam. Pogawędki z klientami, upiększanie rzeczy, przyglądanie się, jak ludzie się zakochują w starociach... to wszystko jest takie magiczne.

Miło mi też, że mogę sprzedawać wyrabiane przez siebie świece. Zaczęłam je robić w ramach hobby – terapeutka zasugerowała, żebym przelała gniew i przygnębienie w coś produktywnego. Nie mówiła konkretnie o świecach. Wspominała o malarstwie, fotografii, sporcie, ale jakoś tak zajęłam się właśnie świecami. A teraz stały się popularne w naszym miasteczku i nawet sprzedają je przez internet. Muszę się już wziąć do jesiennych zapachów, żeby zdążyć przed sezonem.

– Potrzebujesz pomocy? – Podchodzę do stołu.

Kręci głową i ustawia na wystawie jedną ze świec z logo Salem & Binx – małym kotem z literami S&B.

– Już prawie skończyłam i wychodzę.

Zajmę się sklepem sama tego popołudnia, a potem go zamknę i wrócę do domu na kolację.

Mama nie zostaje długo. Przed wyjściem mnie obejmuje.

Do antykwariatu zagląda kilka osób, miejscowych i turystów. Nie dziwię się, że mniej więcej godzinę od mojego przyścia pojawia się mój chłopak Caleb.



SZUKASZ PIKANTNYCH OPOWIEŚCI?

Zajrzyj do najgorętszego miejsca w sieci!

STREFA

Niegrzecznych Książek

Ponad **dwadzieścia**
kategorii i **tysiące**
książek czekają
właśnie na Ciebie!



www.niegrzeczneksiazki.pl

